

Parafianowicz, Halina

"Lou Henry Hoover. Activist First Lady",
Nancy Beck Young, University Press of
Kansas, 2004 : [recenzja]

Dzieje Najnowsze 38/2, 167-175

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

nych aspektach tej zagadkowej sprawy nie ma w pracy Marka Siomy ani słowa. W rzeczywistości plany przeprowadzenia w Polsce krwawego zamachu stanu i narzucenia systemu totalitarnego na wzór niemiecki są raczej mało prawdopodobne, a pojawianie się podobnych poglądów było zapewne związane z silnymi konfliktami na szczytach władzy. Nie da się także wykluczyć, iż jakiś celowy udział w rozpowszechnianiu podobnych informacji miała opozycja, która przecież wszelkimi drogami szukała możliwości podważenia istniejącego systemu politycznego. Na koniec warto także przytoczyć opinię Andrzeja Ajnenkiela, który zauważył, iż „w pierwszym emigracyjnym gabinecie gen. Sikorskiego znalazł się jako minister właśnie Adam Koc. Trudno chyba sobie wyobrazić, by włączono do rządu człowieka, który przed niespełna dwoma laty montował plan zlikwidowania kilku tysięcy osób, w tym swoich aktualnych kolegów z rządu emigracyjnego”⁷.

Na zakończenie chciałbym zamieścić kilka refleksji natury ogólnej. Otóż, badacz historii Polski XX w. staje często przed wyzwaniem dużo trudniejszym niż jego koledzy zajmujący się innymi okresami dziejów. Problemy, o których mowa, to wyjątkowo duże rozproszenie źródeł, których istotna część znalazła się po 1939 r. w archiwach ośrodków emigracyjnych, przede wszystkim w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Dotyczy to także Autora omawianej biografii, tym bardziej, iż sam okres emigracyjny stanowi długi, ponaddwudziestoletni rozdział w życiu Sławoja Felicjana Składkowskiego. Marek Sioma sprostął tym trudnościom, choć można się zastanawiać, czy zwięzłość, z jaką opisał pobyt ostatniego premiera II RP na obczyźnie, nie jest właśnie spowodowana ograniczeniami czasowymi i finansowymi związanymi z dłuższym pobytem za granicą. Tym bardziej należy docenić trud, jaki włożył on w dotarcie do licznych, rozproszonych po świecie materiałów źródłowych. Dzięki temu powstała obszerna, nie wolna od wad, lecz z pewnością wartościowa praca, wzbogacająca naszą wiedzę na temat dziejów politycznych Polski okresu dwudziestolecia międzywojennego.

Paweł Duber
Katowice

Nancy Beck Young, *Lou Henry Hoover. Activist First Lady*, University Press of Kansas 2004, ss. 238

Żony amerykańskich prezydentów budziły zazwyczaj życzliwe zainteresowanie i sympatię rodaków, właśnie już choćby z tego powodu, że były żonami prezydentów. Ale przez prawie dwa wieki nie były one obiektem naukowego zainteresowania, a sam temat, a więc instytucja *first lady* i jej rola w amerykańskiej historii, był omijany czy też ignorowany przez badaczy, także historyków prezydentury. Oczywiście, biografowie poszczególnych prezydentów ich żonom musieli poświęcić trochę uwagi (niektórym z oczywistych powodów nawet sporo), ale nie prowadzili poważnych badań nad rolą i wpływem *first ladies* na politykę swoich mężów.

W gruncie rzeczy poczynając od Marthy Washington każda kolejna mieszkanka Białego Domu zaznaczyła tam swoją obecność, choć były i takie, które niechętnie pełniły nawet funkcje ceremonialne, a Biały Dom nie był ich ulubionym miejscem zamieszkania. Oczywiście pośród jakże zróżnicowanej galerii żon prezydentów były również bardzo aktywne, zaangażowane i wpływowe. Większość z nich była zazwyczaj osobami zaufanymi, oddanymi i wspierającymi

⁷ A. Ajnenkiel, *Polska po przewrocie majowym...*, s. 571.

swoich mężów w ich aktywności, a w czasach poważnych kryzysów politycznych stawały się prawdziwymi ich opokami. Amerykańskie *first ladies* z czasem, zwłaszcza od końca XIX w., poszerzały pole własnej aktywności, pełniąc nie tylko funkcje towarzyskie i ceremonialne. Były gospodyniami Białego Domu, szczególnie dbającymi o jego wygląd i umeblowanie, stąd wiele z nich zajmowało się przebudową i wyposażaniem jego wnętrza w historyczne pamiątki. Organizowały spotkania i przyjęcia, podnosząc rangę tego ważnego i niezwykłego dla rodaków „najważniejszego amerykańskiego domu”. Dwudziestowieczne prezydenckie stawały się coraz bardziej aktywne, niektóre angażowały się w kampanie prezydenckie, pomagały pisać przemówienia, odbywały także zagraniczne podróże w zastępstwie swego męża, podejmowały rozmaite problemy społeczne, a nawet zeznawały w komisjach w Kongresie.

W gruncie rzeczy od Eleanor Roosevelt, która — w trudnych latach wielkiego kryzysu gospodarczego i II wojny światowej — tę funkcję rozbudowała i nadała jej niepowtarzalny charakter, Amerykanie zaakceptowali urząd *first lady* jako ważną część prezydentury i zaczęli z nim łączyć znaczne oczekiwania. Poniekąd więc uznali, że mieszkanki Białego Domu mogą, i powinny, odgrywać znaczące role w prezydenturach swoich mężów. Oczywiście każda *first lady* robiła to w innym stylu, na co niemalże wpływ miały okoliczności, w których przyszło im funkcjonować, oczekiwania opinii publicznej, a także ich osobowości etc. Warto pamiętać, że historycznie uznana i ukształtowana przez tradycję, ale nieokreślona przez Konstytucję, funkcja *first lady* była trudno definiowalna. Kolejne mieszkanki Białego Domu do niedawna nie miały też swoich biur i profesjonalnych pracowników do ich prowadzenia ani budżetu, ale wykonywały swoje powinności z należą im godnością i odpowiedzialnością.

Wzrastająca rola i znaczenie prezydenckich spowodowała od połowy lat 80. XX w. ożywione nimi zainteresowanie Amerykanów, a w następstwie również badaczy, czego przejawem była pierwsza konferencja na ten temat w 1984 r. w Bibliotece Prezydenckiej Geralda R. Forda, a potem kilka innych oraz ogromne zainteresowanie mediów. Należy podkreślić, że jest to frapujący i poważny problem badawczy, a zarazem wyzwanie wymagające kompleksowych badań nie tylko historyków, zwłaszcza prezydentury, ale także rozległych studiów nad problematyką kobiet i polityki, dziennikarstwa, mediów, komunikacji społecznej etc. Stanowisko czy też instytucja *first lady* historycznie przez nie kształtowana, jest fenomenem samym w sobie, a wiele z nich w ostatnich latach budzi coraz większe zainteresowanie amerykańskiej opinii publicznej, zwłaszcza mediów, oraz badaczy różnych dziedzin. I choć *first ladies* jako grupa nie znalazły gruntownych opracowań, niektóre z nich cieszyły się, i nadal cieszą, dużym zainteresowaniem, o czym też świadczą liczne o nich książki. Zważywszy na liczbę publikacji w czołówce tej znajdującej się: Eleanor Roosevelt, Jacqueline Kennedy, Hillary Rodham Clinton, Mary Todd Lincoln, Dolley Madison i Abigail Adams. Prace o pani Clinton, pełniącej aktualnie obowiązki senatora Nowego Jorku i potencjalnej kandydatce do urzędu prezydenta w 2008 r., są raczej mało obiektywne, oparte nie tylko na niekompletnych i selektywnych źródłach, ale i zazwyczaj pisane z pozycji napastliwych krytyków, bądź żarliwych obrońców (ale to osobny i skądinąd ciekawy temat do opracowania). Z pewnością ta niezwykła kobieta polityk doczeka się z czasem rzetelnych biografii, na miarę jej osobowości i dokonań.

Poważne badania, zapoczątkowane przed niespełną dwoma dekadami przez Betty Boyd Caroli, prowadzą z powodzeniem Carl Sferrazza Anthony, Robert Watson, Lewis Gould, Myra Gutin i inni. Udostępnianie coraz to nowych zbiorów archiwalnych dotyczących także żon prezydentów i otwarta w Canton w Ohio w 1998 r. Biblioteka *First Ladies* umożliwiają podjęcie bardziej wyczerpujących badań w tym zakresie. Warto też dodać, że niektóre mieszkanki Białego Domu pozostawiły ciekawą, a nieraz i bogatą spuściznę pisarską — pamiętniki, autobiografie, publicystykę etc., co jest niezwykle użyteczne dla badaczy. Po II wojnie światowej większość

mieszkanek Białego Domu, z wyjątkiem Bess Truman, Mamie Eisenhower, Jackie Kennedy i Patrici Nixon, napisała swoje wspomnienia.

Ostatnie lata cechuje w Stanach Zjednoczonych ożywienie badań dotyczących prezydentury, a więc i prezydentowych, czego efektem są rozmaite konferencje i publikacje poświęcone tej fascynującej i słabo opracowanej tematyce. Z inicjatywy kilku badaczy i w kilku ośrodkach uniwersyteckich podjęto dysertacje doktorskie i dyskusje na temat *first ladies*. Robert Watson jest jednym z tych historyków, którzy systematycznie podnoszą i wprowadzają w obieg naukowy tę tematykę. Pozwala to mieć nadzieję na sukcesywny rozwój tych studiów, zwłaszcza że ich potrzeba i znaczenie nie są kwestionowane, a raczej poszukuje się adekwatnej metodologii. W odróżnieniu od badań nad prezydenturą studia nad *first ladies* nie stanowią *sensu stricto* osobnej dyscypliny (jeszcze?), powoli wszak wchodzi w krąg zainteresowań coraz liczniejszej rzeszy naukowców, zwłaszcza młodego pokolenia. Ukazują się też regularnie periodyki i pisma poświęcające sporo uwagi tym zagadnieniom, m.in. „Presidential Studies Quarterly”, „The Social Science Journal”, „White House Studies” czy „Women & Politics”.

Niniejsza recenzja dotyczy pracy o Lou Henry Hoover (1874–1944), jednej z mało znanych i zapomnianych mieszkanek Białego Domu. Jako żona 31 prezydenta USA, który pełnił swój urząd w latach 1929–1933 w czasie światowego kryzysu gospodarczego, nie była szczególnym obiektem zainteresowań badaczy, choć poświęcono jej kilka artykułów i biografię autorstwa Helen B. Pryor (*Lou Henry Hoover: Gallant First Lady*, New York 1969). Publikacje te wszak oparte były na niepełnym i nader wybiórczym materiale źródłowym, zwłaszcza pierwsza biografia, co poważnie ograniczało obiektywizm, a więc i jej użyteczność dla późniejszych badaczy. Udostępnienie w 1984 r. bogatych kolekcji Lou Henry Hoover w Bibliotece Prezydenckiej Herberta C. Hoovera w West Branch przyniosło z czasem interesujące artykuły i publikacje związane z jej działalnością w ruchu skautowskim oraz pracą społeczną, zwłaszcza charytatywną, w różnych okresach jej życia. Z nowszych prac o tej prezydentowej, sięgających w dużej mierze do źródeł archiwalnych, warto odnotować dwie: Dale C. Mayer ed., *Lou Henry Hoover: Essays on a Busy Life*, Wordland 1994 oraz biograficzną książkę autorstwa Anne Allen Beiser, *An Independent Woman. The Life of Lou Henry Hoover*, Westport 2000.

Najnowsza książka o Lou Henry Hoover¹, oparta na rozległej bazie źródłowej, zasługuje na szczególną uwagę, przedstawia bowiem najpełniejszy obraz życia i aktywności tytułowej bohaterki. Praca składa się z 6 rozdziałów, a jej świetnym dopełnieniem są fotografie przybliżające tak mało znaną *first lady*. Lou Hoover była też niewątpliwie prezydentową niedocenianą, niezrozumianą i w jakimś sensie zapomnianą, co miało ścisły związek z trudną kryzysową prezydenturą i niepopularnością męża, a także z jej niezwykle aktywną i popularną następczynią w Białym Domu, Eleanor Roosevelt, która przez ponad dwanaście lat — jak nieraz pisano — „rządziła Ameryką”. Nawiasem mówiąc także i większość późniejszych *first ladies* miała podobny problem, trudno im bowiem było sprostać oczekiwaniom i wymaganiom rodaków po ustąpieniu tak wysoko poprzeczki przez panią Roosevelt. Do dziś zresztą dzierży ona palmę pierwszeństwa, której ustępuje nawet inna wielka aktywistka, Hillary Rodham Clinton.

Lou Henry Hoover była kobietą samodzielną i dobrze wykształconą. Jako pierwsza kobieta ukończyła geologię na Uniwersytecie Stanforda i szybko zdobyła niezależność nie tylko finansową. Przez lata u boku męża, eksperta górniczego i biznesmena, przemierzyła glob ziemski, prowadząc dostatnie życie pełne niezwykłych przygód. Z wrodzonym czarem osobistym i dyplomacją zdobywała kolejnych przyjaciół, a ożywione życie towarzyskie nie odrywało jej ni-

¹ N. B. Young, *Lou Henry Hoover. Activist First Lady*, University Press of Kansas, 2004, s. 238.

gdy od spraw rodzinnych, zwłaszcza od wychowywania dwóch synów, którym pozostała zawsze oddaną matką. Przyjazne i prawdziwie partnerskie relacje z mężem pozwalały jej realizować się w pełni i czyniły ją kobietą szczęśliwą, jak to potem pięknie napisała w liście do synów i wnuków².

Lou Hoover współdziałała w organizowanej przez Hoovera American Relief Administration (ARA), wielkiej akcji niesienia pomocy milionom głodujących ludzi w czasie I wojny światowej i po jej zakończeniu. Od 1921 r. przez bez mała osiem lat Hooverowie zamieszkiwali w Waszyngtonie w kolonialnym domu z ogrodem, gdzie często podejmowali przyjaciół i ludzi z towarzystwa. Zgodnie z upodobaniami pani domu prowadzono ożywione życie towarzyskie, a Lou Hoover jako żona niezwykle wpływowego ministra handlu była postacią znaną w waszyngtońskiej elicie. Działała w ruchu skautów i podejmowała różne prace społeczne, wykazując się swoją naturalną zręcznością i dyplomacją kobiecą. Wypowiadała się nieraz na temat potrzeb edukacyjnych dziewcząt i większej aktywności publicznej kobiet, choć nie szukała ideologicznych uzasadnień dla swojej postawy ani też nie pisała na ten temat do periodyków kobiecych. Była po prostu wykształconą, postępową i niezależną kobietą, znakomicie realizującą się w życiu rodzinnym i publicznym. Na pytanie, czy kobiety powinny podejmować studia i zawody, które je interesują odpowiadała po prostu — „dlaczego nie?” Lou Hoover stała się też niekwestionowanym autorytetem dla milionów Amerykanek zafascynowanych jej drogą życiową i sukcesem. Jej wzrastająca aktywność publiczna i niezależność, co podkreśla Autorka, były jakby zsynchronizowane z karierą małżonka, którego zawsze wspierała w jego aktywności publicznej (s. 33–37).

Warte podkreślenia są liczne podróże i długie okresy życia Hooverów poza granicami Stanów Zjednoczonych, które w dużej mierze ukształtowały światopogląd i przekonania Lou Hoover. Jej znajomość świata i kilku języków, rozległe kontakty międzynarodowe w wyższych sferach, obycie i „cudzoziemskość” (co nieraz, zwłaszcza w odniesieniu do męża aspirującego do najwyższego urzędu w państwie, poddawano też ostrej krytyce) okazały się niezwykle przydatne w późniejszych latach aktywności publicznej. Umiała to wykorzystać w sposób naturalny i bezpretensjonalny, zyskując zawsze dużą sympatię.

Jeden z rozdziałów w całości poświęcony jest aktywności Lou Hoover w skautingu (s. 111–139). Skauting dziewczęcy i samą organizację, jak ktoś powiedział, wprowadziła do Białego Domu. Jako honorowa przewodnicząca *Girl Scouts* wspierała rozmaite inicjatywy, pisała do pism dziewczęcych, przemawiała w radio i organizowała zbiórki pieniędzy na organizację, promując ją w najrozmaitszych gremiach. Angażowała się i zawsze umiała zdobyć poparcie dla dziewczęcego skautingu, który był bodaj największą pasją jej życia. Była szczególnie aktywna w latach 20., ale i potem, po odejściu z Białego Domu. Należy podkreślić, że sam ruch niewątpliwie wiele jej zawdzięcza, za jej przewodnictwa bowiem nastąpił błyskawiczny wzrost liczby członków (z 70 tys. w 1920 r. do blisko 150 w kilka lat potem i 400 tys. w 1937 r.) oraz szybki wzrost czytelniczek periodyku „*American Girl*” (z 6 tys. do 50 tys. w połowie lat 20.). Lou Hoover brała często udział w rozmaitych zjazdach, konferencjach i zebraniach stowarzyszeń skau-

² Przed wielu laty, przygotowując biografię Herberta C. Hoovera, miałam sposobność skorzystać z tych źródeł w Bibliotece Prezydenckiej w West Branch, Iowa. Sam list przygotowany był w okresie nasilonej kampanii wyborczej w 1932 roku, kiedy Hoovera atakowano za wszystko, przymiotowo nawet za złą pogodę. Zdecydowała się zatem napisać do dzieci i wnuków i pozostawić im świadectwo o tym kochanym i kochającym „człowieku wielkiej dobroci i szlachetnym sercu” oraz „wielkim prezydencie”. List nie został wykorzystany w kampanii i dopiero w wiele lat później dotarli do niego badacze (Hoover Presidential Library, Lou Henry Hoover Papers, Personal Correspondence, f. Allan Hoover).

towskich, zachęcając dziewczęta do większej aktywności i realizacji swoich marzeń nie tylko prywatnych, ale i zawodowych.

Wypada zgodzić się z interpretacją Autorki, że Lou Hoover niewiele wiedziała o przygotowaniach męża do kampanii prezydenckiej w 1928 r. i chyba miała mieszane uczucia co do tych planów. Sama zresztą nie brała udziału w kampanii wyborczej, a w jej imieniu zabierała czasem głos publicznie jedna z jej sekretarek, Ruth Fesler (s. 41–45). Towarzyszyła wszak mężowi w licznych spotkaniach z wyborcami, z wdziękiem przyjmując naręcza kwiatów. Z nieukrywana też satysfakcją powitała jego zwycięstwo wyborcze, a niedługo potem jeszcze w okresie interregnum z radością szykowała się do 6-tygodniowej „dobrosąsiedzkiej podróży” do 11 krajów Ameryki Południowej. Znalazła się w wąskim gronie przygotowującym wizytę, a jej znajomość języka hiszpańskiego okazała się bardzo użyteczna w planach politycznych męża. W dniach od 19 listopada 1928 r. do 6 stycznia 1929 r. Hoover przebywał w krajach Ameryki Łacińskiej, zapoczątkowując w ten sposób „politykę dobrosąsiedzką” wobec regionu.

4 marca 1929 roku Herbert Hoover, z towarzyszącą mu małżonką, uroczystie rozpoczął swoją prezydenturę, co z uwagą odnotowała prasa, spekulując na temat przyszłych zajęć *first lady*. Jak się niebawem okazało, w pierwszym roku urzędowania poświęciła ona sporo energii i czasu na organizowanie spotkań i przyjęć w Białym Domu. Zmieniła i udoskonaliła kalendarz oficjalnych przyjęć, zapraszając mniejsze grupy gości według określonych kluczy. Były więc spotkania żon członków gabinetu i osobne recepcje dla żon członków Izby Reprezentantów i Senatu, także korpusu dyplomatycznego oraz polityków krajowych i zagranicznych. Szczególnie dużą popularnością cieszyły się bożonarodzeniowe spotkania w Białym Domu organizowane dla dzieci, z udziałem wnuków Hooverów, co potem opisywano w prasie. Jak zazwyczaj komentowano, czar i wdzięk osobisty Lou Hoover nadawał spotkaniom w Białym Domu, i w ogóle prezydenturze Hoovera, cieplejszy, bardziej ludzki wymiar (s. 54).

Nowa mieszkanka Białego Domu powiększyła znacznie jego personel i swój sekretariat, a przez większość pracowników zapamiętana została jako szefowa niezwykle wymagająca i surowa. Potrafiła też być bardzo współczująca i szczodra, o ile uznała, że ktoś naprawdę potrzebował jej pomocy. W różny zresztą sposób, zwłaszcza finansowo, wspierała zaangażowanych i oddanych sobie pracowników, o czym ani jej najbliżsi współpracownicy, ani mąż nieraz nie wiedzieli. Zapracowane sekretarki pomagały jej w prowadzeniu rozległej korespondencji, która w większości dotyczyła rozmaitych prośb o pomoc w czasie kryzysu gospodarczego. *First lady* przywiązywała dużą wagę do tych listów i poważnie je traktowała, zwłaszcza listy interwencyjne, choć czasem trzeba było sobie zadać sporo trudu, by je odróżnić od listów rozmaitych naciągaczy. Wspominali o tym potem współpracownicy, zwłaszcza sekretarki uskarżające się na jej naiwność, a także pedantyczność w wyjaśnianiu takich spraw.

W aktywności Lou Hoover należy podkreślić kilka jej własnych pól działań czy też projektów, m.in. renowację Białego Domu, wspieranie dziewczęcego skautingu i prace filantropijne, powiązane ze zwalczaniem kryzysu gospodarczego. Jednym z pierwszych zadań *first lady* stała się restauracja Białego Domu, w którym stworzyła „trzy strefy gościnności” — jak zapamiętano — parter dostępny dla zainteresowanych, pierwsze piętro przeznaczone na oficjalne uroczystości i przyjęcia oraz drugie piętro — wyłącznie prywatne. Jej ambitny projekt dotyczący Białego Domu i zmiany wyposażenia, zwłaszcza w historyczne meble oraz pamiątki, nie spotkał się ze zrozumieniem nawet najbliższego otoczenia i wkrótce został zarzucony, bo budził kontrowersje rodaków. Głównym tego powodem był z pewnością pogłębiający się kryzys gospodarczy, dotyczący miliony Amerykanów. Dopiero Jacqueline Kennedy w 30 lat później powróciła do podobnego pomysłu i okazała się bardziej konsekwentna i skuteczna w restauracji Białego Domu.

To w dużej mierze dzięki Lou Hoover powstał prezydencki ośrodek rekreacyjny Camp Rapidan w Wirginii jako swoisty azyl dla zapracowanego i strudzonego Hoovera (s. 58–59). W niedalekiej przyszłości nieopodal tej posiadłości para prezydencka założyła szkołę dla dzieci z okolicy, do której uczęszczało blisko 40 uczniów. Hooverowie wspierali ją finansowo, a małżonka prezydenta zaangażowała się w tę akcję filantropijną, która dla niej była swoistym oczkiem w głowie. Był to zarazem przejaw jej wiary w oddolne lokalne działania antykrzysowe, jej projekt, do którego mąż nie przywiązywał aż tak wielkiej wagi, a może po prostu nie miał na to czasu, jak zauważali współpracownicy. Zresztą on miał swoje większe i poważniejsze programy, a do planów i pomysłów *first lady* nie wtrącał się (s. 92–96).

Znanemu incydentowi z zaproszeniem Jessie DePriest, żony czarnego republikańskiego kongresmana na tradycyjną herbatkę organizowaną dla żon członków Kongresu Autorka — moim zdaniem — nadaje przesadną rangę, widząc w tym fakcie podjęcie przez Lou Hoover problemów rasowych (s. 65). Warto wprost powiedzieć, że prezydentowa stanęła przed poważnym problemem i dylematem, bo powinna była zorganizować taką herbatkę dla żon kongresmanów, a nie chciała i w zasadzie nie mogła wykluczyć jednej z nich tylko dlatego, że była Murzynką. Pani Hoover w jakimś stopniu zademonstrowała swój negatywny stosunek do rasizmu, ale musiała to zrobić niezwykle taktownie i rozważnie. Obawiając się skandalu towarzyskiego i ewentualnego bojkotu oraz znacznie bardziej niekorzystnych następstw politycznych dla prezydenta, zwłaszcza na Południu, znalazła „złoty środek”. Zorganizowała odrębną herbatkę w Białym Domu z udziałem Jessie DePriest i kilkunastu osób, które przyjęły zaproszenie. Ale i to nie uchroniło *first lady* przed napastliwą krytyką właściwie ze wszystkich stron. Wielu działaczy murzyńskich i tak widziało w tym geście dyskryminację, a biali z Południa oburzali się na takie honory okazywane „czarnuchom” (s. 68–69). W prasie również dosyć ostro i powszechnie krytykowano Lou Hoover, jak i prezydenta za to przyjęcie (s. 68–70). On sam nie zabrał publicznie głosu w tej sprawie, choć nie oznacza to, że się nią nie zajmował. Było to więc raczej niefortunne i gorzkie doświadczenie dla *first lady*, która — jak potem to komentowano — musiała zwracać większą uwagę „na tradycję i właściwe zachowanie mieszkanki Białego Domu”. Incydent ten nie wzmocnił pozycji politycznej Hoovera, który musiał potem udobruchać rozwścieczonych sojuszników z Południa.

Być może incydent z panią DePriest, jak sugeruje Autorka, nie miał aż tak wyraźnego podłoża rasistowskiego, a raczej był przejawem dyskryminacji ze względu na płeć, bo chodziło o kobietę Murzynkę. Na wzmocnienie tej tezy przytacza fakt, że na dorocznych spotkaniach weteranów w ogrodach Białego Domu przyjmowano zarówno białych, jak i czarnych (s. 71). Moim zdaniem jest to mało przekonujące tłumaczenie, ponieważ były to i tak jedynie jednostkowe przypadki. Ale faktem jest, że Lou Hoover, kobiecie nowoczesnej i światowej, niełatwo było funkcjonować na tak eksponowanym stanowisku w stołecznym Waszyngtonie, gdzie obowiązywała segregacja rasowa, a przedziały klasowe i tradycyjne role wyznaczane dla obu płci wydawały się być nienaruszalne.

Do prezydentowej kierowano wiele listów z najrozmaitszymi prośbami o pomoc i wsparcie. Nie pozostawała obojętna na ludzką krzywdę i biedę, której doświadczali tak masowo rodacy. O rozmiarach pomocy finansowej Lou Hoover nigdy nie wiedzieli nawet najbliżsi i do dziś nie doliczyli się jej także badacze. Po jej śmierci w czasie porządkowania biurka znaleziono sporo dowodów na to, jak wielu ludziom pomagała ona dyskretnie i nie szukając rozgłosu (s. 98–104).

W czasie kryzysu u gospodarczego Lou Hoover podejmowała różne działania zwalczające bezrobocie, wspierała rozmaite organizacje i inicjatywy lokalne, choć zazwyczaj robiła to anonimowo (s. 109). Była przekonana, że przyspieszona modernizacja, a zwłaszcza urbanizacja, zniszczyły tradycyjne amerykańskie wartości, powodując też kryzys gospodarczy o niespotykane

nych rozmiarach. Tym bardziej widziała więc pilną potrzebę podejmowania oddolnych inicjatyw, dobrowolnych akcji w społecznościach lokalnych, które powstrzymywałyby, bądź przynajmniej osłabiały, zjawiska kryzysowe. Podobnie jak mąż, głęboko wierzyła w amerykański indywidualizm, samoregulującą się gospodarkę i zdroworozsądkowe działania rodaków.

Najciekawszy, moim zdaniem, jest rozdział piąty, poświęcony rozważaniom na temat Lou Hoover i jej aktywności na różnych polach oraz wizerunku zarówno publicznego, jak i prywatnego. Nie dbała o oficjalny *image*, choć do etykiety i funkcji ceremonialnych podchodziła z należną powagą i bardzo profesjonalnie. Mimo wszystko pani Hoover pełniła, a w każdym bądź razie tak to ówczesnie postrzegali rodacy, raczej tradycyjną rolę jako żona prezydenta. O ile wcześniej była faktycznie jego partnerką, o tyle w latach prezydenckich wolą pozostać niejako w cieniu. Nigdy nie podkreślała swoich aspiracji ani możliwości, a wszystko co robiła dostosowywała do potrzeb męża. Nawet kiedy nie podzielała jego opinii, zachowywała to raczej dla siebie, nie chcąc dodatkowo pograżać go w wątpliwościach i rozterkach, jak potem przyznała.

Przez lata w podręcznikach amerykańskiej historii i wielu biografii prezydenta Hoovera jedynie wzmiankowano o pani Hoover jako o tradycyjnej *first lady*, pełniącej funkcje ceremonialne. Jest to swoisty paradoks, była bowiem nowoczesną prezydentową, w jakimś sensie przejściową, przełamującą tradycyjne wzorce i chyba w gruncie rzeczy bliższą aktywistkom niż tradycjonalistkom. To właśnie ona jako pierwsza *first lady* zapoczątkowała wystąpienia w radio, udzielała wywiadów prasowych (choć trzeba przyznać, że rzadko) i podejmowała niektóre narzmięła w czasie kryzysu gospodarczego sprawy społeczne. Błędne przekonanie o jej całkowitej pasywności utrwaliło się na dobre w historiografii, co — moim zdaniem — było w dużej mierze następstwem — oprócz wspomnianych wcześniej powodów — również jej własnej postawy. Lou Hoover, skromna i pracująca zawsze tylko „na konto męża”, nigdy nie chciała nagłaśniać swoich poczynań ani kreować własnego wizerunku prasowego. Unikała tego, jakby popularyzacja jej dokonań — co zauważali czasem dziennikarze — mogła umniejszać pozycję męża. Znane są jej wypowiedzi na ten temat, które warto było rozwinąć. Osobiście czuję pewien niedosyt, także i po tej lekturze. Szkoda, że Autorka tej kwestii nie omówiła szerzej, a jedynie o tym wzmiankowała.

Autorka wspomina, że nawet przyjmując delegacje geologów, *first lady* ukrywała swoje zainteresowania, intelektualne możliwości i dokonania w tej dziedzinie, jakby nie chcąc się wyróżniać (s.146). Skądinąd przecież wiadomo, że była współautorką ambitnego dzieła translatorskiego *De Re Metallica*, za które wraz z mężem odznaczona została w 1914 r. złotym medalem. W przyszłości też, w uznaniu jej szczególnych zasług w tej mierze, otrzymała honorowy doktorat Goucher College.

Lou Hoover bardzo dbała o prywatność rodziny i starała się uchronić dzieci przed intruzami z mediów. Chorującego w 1930 r. na gruźlicę syna Herberta otoczyła troskliwą opieką i z tym większą starannością zabiegała, by chronić go przed dziennikarzami. Zresztą z mediami chyba nie umiała (a może i nie chciała) współpracować, co z pewnością miało swoje odzwierciedlenie w zdawkowych i nieprawdziwych informacjach, czy raczej plotkach i spekulacjach prasowych o życiu prywatnym rodziny. W konsekwencji zniechęcało to ją coraz bardziej do rozmów z dziennikarzami i odsuwało od mediów. Dopiero w końcówce prezydentury męża poczyniła pewne gesty wobec mediów, także wobec dziennikarek, które latem 1931 r. zaprosiła na przyjęcie w ogrodzie Białego Domu, co znalazło sympatyczny odzew w prasie. Także jej udział w spotkaniach męża z prasą latem 1932 r. i potem jej uczestnictwo w kampanii prezydenckiej życzliwie nieraz komentowano. Widocznie było na to zapotrzebowanie społeczne, a w gazetach nieraz z żalem pisano, że zbyt rzadko gościła w mediach. W kręgach strategów republikańskich

wskazywano też czasem na możliwość i potrzebę wykorzystania jej w celu popularyzacji samego prezydenta i jego prezydentury. Uwagi o jej znakomitym głosie radiowym i niewykorzystanych zdolnościach medialnych znajdują wiele potwierdzeń w źródłach. Szkoda więc, że ten atut nie został wykorzystany, jej aktywność bowiem w tym względzie mogłaby polepszyć wizerunek zabiegającego o reelekcję Hoovera.

Lou Hoover silnie przeżywała wszelkie ataki, zwłaszcza personalne, na męża i jego politykę, którą nie tylko popierała, ale i jej broniła. Pod koniec kampanii prezydenckiej w 1932 r. była zdruzgotana rozmiarami oszczędniejszej akcji prasowej i różnymi pomówieniami dotyczącymi prezydenta i jego polityki. W jednym z listów do przyjaciółki napisała, że gdyby uznała za prawdę to, co o mężu pisano w prasie, to też nie mogłaby zagłosować na niego (s. 162). Dzień klęski wyborczej Hoovera był także dniem klęski Lou Hoover, która to szczególnie boleśnie przeżyła. Do końca nie wierzyła w tak druzgocącą porażkę męża, przekonana była bowiem o jego prawości i wielkości, a więc i słuszności politycznych decyzji i całej prezydenckiej polityki. Równie dramatycznym przeżyciem, a może jeszcze silniejszym, była dla nich inauguracja Franklina D. Roosevelta, czego Hooverowie nie potrafili nawet ukryć. Z tej swoistej traumy z trudem, choć nie do końca, udało im się wy dostać w kolejnych latach, i jej to przyszło znacznie łatwiej niż mężowi.

Po odejściu z Białego Domu Lou Hoover więcej czasu spędzała z wnukami i przyjaciółmi w swoim ukochanym Palo Alto. Tam też chętnie udzielała się w lokalnej społeczności, podejmując liczne inicjatywy. Wspierała dyskretnie poczynania polityczne męża, zagorzałego krytyka *new dealu* i Roosevelta, ale nie była na bieżąco wprowadzana w jego strategię polityczną. I chyba nie za bardzo chciała, jego plany bowiem dotyczące ponownego ubiegania się o prezydenturę w 1936 r. nie znajdowały jej entuzjazmu (niektórzy badacze nawet twierdzą, że ich po prostu nie znała). Z biegiem lat pogarszał się stan zdrowia Lou Hoover, choć starała się funkcjonować normalnie i ukrywała ten fakt nawet przed najbliższymi. Ale sporządzony przez nią znacznie wcześniej testament świadczy, że była przygotowana na swoje odejście. Zmarła nagle w hotelowym mieszkaniu w Waldorf w Nowym Jorku, po koncercie, w piątkowy wieczór 7 stycznia 1944 r. Jak uznali przyjaciele, odeszła tak jak żyła — cicho, bez rozgłosu — a w ostatnim dniu swego życia towarzyszyły jej sprawy i ludzie, których kochała — *Girl Scouts* i sztuka (s. 185).

Lou Hoover pewnie w innych okolicznościach zapamiętana byłaby zupełnie inaczej jako *first lady*. Nie miejsce tu jednak na przypuszczenia i „gdybanie”, skądinąd modne dziś jako historia alternatywna. Niewątpliwie jednak była mało znana i niezrozumiana przez rodaków, choć trzeba dodać, że i zbytnio nie starała się o to, mając żal o krytyczne oceny jej męża przez Amerykanów. Wspierała go tak jak umiała i z własnego wyboru pozostawała w jego cieniu, także po klęsce wyborczej w 1932 roku. Obraz „kryzysowego prezydenta” zadomowił się przez dziesięciolecia w amerykańskiej historiografii, czemu też towarzyszył zdawkowy i nieprawdziwy wizerunek Lou Hoover jako konserwatywnej tradycjonalistki. W gruncie rzeczy była samodzielną, odważną i niekonwencjonalną kobietą, znakomicie realizującą się w życiu publicznym. Zrobiła też wiele dla Amerykanek, a także późniejszych prezydentów, gdyż na swój sposób była prekursorką nowoczesnego aktywizmu *first ladies*.

Z dużym opóźnieniem historycy przybliżają prawdziwy obraz Lou Hoover i należne jej miejsce w panteonie amerykańskich *first ladies*, o czym też świadczą jej lepsze notowania w badaniach opinii Amerykanów. W 1980 r., według ocen historyków, znalazła się na 11 pozycji, podczas gdy prezydent Hoover dopiero na 27. Jeszcze lepiej wypada w badaniach amerykańskiej opinii publicznej w ostatnich dekadach, rodacy bowiem wiedzą o niej więcej niż w czasach prezydentury Hoovera. W 1980 r. czytelniczki „Good Housekeeping” uplasowały ją na

czwartej pozycji wśród XX-wiecznych prezydentowych, szczególnie wysoko punktując pełnienie przez nią obowiązków ceremonialnych *first lady*, wspieranie męża w polityce i inspirowanie aktywności publicznej kobiet. Najnowsze prace i recenzowana biografia przybliżyły życie i działalność Lou Henry Hoover, rewidując utrwalone od lat w amerykańskiej historiografii niesprawiedliwe opinie o tej niezwyklej kobiecie.

Halina Parafianowicz
Białystok

Włodzimierz Mędrzecki, *Inteligencja polska na Wołyniu w okresie międzywojennym*, Warszawa 2005, Wydawnictwo Neriton, Instytut Historii PAN, ss. 331

Książka Włodzimierza Mędrzeckiego o roli, jaką inteligencja polska odegrała w okresie międzywojennym na Wołyniu, wypełnia lukę w dotychczasowym piśmiennictwie kresowym. Wydane w ostatnim 15-leciu prace poświęcone przedwojennemu Wołyniowi to w większości artykuły podejmujące przede wszystkim — niewątpliwie ważne — zagadnienia o zabarwieniu politycznym, jak: kierunki polityki rządowej, układ stosunków polsko-ukraińskich i „program wołyński” wojewody Józewskiego. Brakuje w nich jednak głębszego spojrzenia na tę grupę polskiego społeczeństwa, która w znacznym stopniu miała wpływ na społeczny i intelektualny charakter Wołynia i która stykała się z ludnością ukraińską w życiu codziennym jako urzędnicy, nauczyciele, prawnicy albo kierownicy organizacji gospodarczych czy kulturalnych. Była to wołyńska „inteligencja”, którą Autor widzi nie tylko jako wąską grupę społeczno-zawodową, ale szerzej — jako środowisko pełniące na Wołyniu funkcję „warstwy oświeconej” niezależnie od rodzaju wykonywanej pracy.

Autor wykorzystał liczne dostępne źródła: regionalną prasę wołyńską, zachowane materiały Wołyńskiego Urzędu Wojewódzkiego, Wołyńskiego Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego, akta personalne Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oraz wiele innych. Ta obszerna dokumentacja pozwoliła mu na wnikliwe opracowanie tego niełatwego tematu. Książka składa się z dwóch części, z których pierwsza obejmuje okres od 1919 r. do około 1928 r., a część druga — lata następne do wybuchu wojny. Tematyką dziewięciu rozdziałów książki są takie zagadnienia, jak: formowanie się środowiska inteligencji, jej życie publiczne, warunki materialne, kultura i styl życia.

Województwo wołyńskie utworzone zostało w marcu 1921 r. Grupa inteligencji polskiej — jak podaje Autor za spisem ludności — we wrześniu 1921 r. ograniczała się do około 6000 osób utrzymujących się z pracy umysłowej. Byli to w znacznej większości ludzie miejscowego ziemiańskiego pochodzenia. Wkrótce jednak zaczęli napływać na Wołyń pracownicy aparatu państwowego, skierowani tam z innych dzielnic kraju, nauczyciele, ludzie wolnych zawodów, a także — z własnej inicjatywy — osoby poszukujące pracy w nowo powstających instytucjach i organizacjach. Przybyło też sporo osób spoza granicy wschodniej. Była to więc mozaika ludzi o niejednorodnych zwyczajach, upodobaniach i przekonaniach, często różniących się w poglądach politycznych i — co z tym związane — mających swoje własne wyobrażenie przyszłości Wołynia i wołyńskiej polityki narodowościowej. Z biegiem czasu różnice kulturalne między nimi zaczęły się zacierać i kształtował się swego rodzaju lokalny wołyński patriotyzm, chociaż różnice w poglądach na kierunek narodowościowej polityki wołyńskiej, modyfikowane z czasem, w pewnym stopniu pozostały. Autor rzetelnie przedstawił zmiany, jakim podlegała polska inteligencja w ciągu 19 lat swojej egzystencji na Wołyniu i jakie — mimo braków — miała osiągnięcia.